

Spotkanie

(historia nr 1.23 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Nikt nie wiedział, ile materiałów zużyto, by go stworzyć, nikt też nie posiadał kompletnych do niego planów. Budowany w sekcjach przez wiele lat z wykorzystaniem odmiennych, często pionierskich technologii stanowił pełną konfliktów i nieprzewidzianych problemów zagadkę dla kolektywu jego twórców, z których większość i tak już nie żyła. Prowizorycznie naprawiany, lecz wciąż wadliwy, naszpikowany sprzętem nigdy nietestowanym, mianowany pół roku temu okrętem flagowym, a do dziś modernizowany SS „Santlite 75” był strategiczną katastrofą, na jaką ludzkość nie mogła sobie pozwolić. Nadal nie nadawał się do służby, choć na pokładzie gościł już piętnaście tysięcy aktywnej załogi i dziesięć tysięcy znudzonych żołnierzy, a wkrótce miał też przyjąć centrum administracyjne Floty. Storen Werstain, dowódca jednostki, nie dostał jednak informacji o tym, ile osób musi zakwaterować, jaką część okrętu im wydzielić ani nawet kogo przybywający urzędnicy będą reprezentować.

Władza na Ziemi, choć skupiona na szczycie wciąż w rękach pojedynczej osoby, na niższych poziomach rozprysła się i rozdrobniła lokalnie do tego stopnia, że nie istniała już żadna oficjalna struktura. Jedyną, wyrastającą z chaosu walki o dominację, formą zrozumiałej hierarchii było dowództwo sił Floty, które zamknięte w wydzielonych, luksusowych okrętach lub nadal w swych willach na planecie, konsekwentnie ignorowało problemy techniczne „Santlite 75”, rosnące zagrożenie terroryzmem na statkach i upadek wojskowego morale. Do wyliczonego końca świata zostało nieco ponad sześć miesięcy, a nawet podstawowa strategia logistyczna, po śmierci nadzorczyń ds. dystrybucji zasobów ludzkich, wciąż leżała niedokończona.

Tego chaosu nikt już nie kontrolował, a ludzkość podzieliła się między skupionych na poszukiwaniu doraźnego szczęścia a oddanych apatii oczekiwania na koniec. Ani jedni, ani drudzy nie myśleli o przyszłości, a wszystkie obowiązki Floty, w tym zaopatrzenie, naprawy, logistyka, bezpieczeństwo, misje zwiadowcze, a nawet dystrybucja ograniczoną przestrzenią na statkach, spadły na głowę komandora Storena Werstaina, kapitana SS „Santlite 75”, dumy Zjednoczonych Narodów, ostrza i tarczy ludzkości, okrętu flagowego, który wybierał się na podbój kosmosu, nie mając nawet dobrze wyznaczonych map.

Werstain po raz trzeci przeczytał komunikat wyświetlony na panelu wirtualnym, który wodospadem światła spływał z sufitu do samej ziemi, rozświetlając pokój niebieską chłodną aurą. Złożony właśnie dzienny raport przepadł na zawsze, bo system odmawiał weryfikacji dokumentu. Z grymasem irytacji, prostym impulsem chęci, Werstain uruchomił tablicę zadań, gdzie w trzech kolumnach kolejno wisiały kwestie krytyczne, niezbędne i pozostałe. W myślach ubrał problem w słowa, które samoistnie zabłysły na ekranie, i wzrokiem przesunął odnotowane zdanie najpierw w drugą kolumnę problemów do załatwienia, a potem do trzeciej listy zagadnień, zapisanych i zapomnianych pośród setek innych. To nie była pilna sprawa. W końcu nigdy żaden admirał nie zapytał o te raporty i specjalnie nie kontaktował się z nim. W zasadzie nikt z dowództwa nie pokazywał swojej twarzy, pewnie ze strachu przed zamachami i agresją rozwścieczonych dowódców okrętów. Wszelkie rozkazy komandor otrzymywał krótkimi, pisemnymi wiadomościami, z reguły dotyczącymi rzeczy błahych i nieistotnych dla Floty. Werstain wykonał jeszcze serię komend, ruchem gałki ocznej i myślami przełączając w parę sekund kilkadziesiąt okien i aplikacji, migających tak szybko, że dla osoby postronnej musiały wyglądać jak stroboskopowa terapia wstrząsowa. Potem machnęła ręką na wskroś świetlnego ekranu, wyłączając go.

Taką łatwość realizowania poleceń zawdzięczał mundurowi, który wpinał się w jego rdzeń kręgowy i cały układ nerwowy, odbierając proste polecenia płynące z mózgu i integrując je z systemem okrętu. Kombinezon miał wbudowaną technologię sterowania myślami, zaprojektowaną jeszcze przed całkowitym zakazem jej stosowania w 2137 roku, celowo ograniczoną jednak do podstawowych funkcji. Ten dwuczęściowy ubiór, noszony przez całą załogę, był równie nowatorski, jak sam statek, bo niwelował zmęczenie i minimalizował potrzebę snu, jedzenia i picia. Doskonale dopasowany i wpięty w ciało, zachowywał się wewnętrzną częścią niczym druga, naszpikowana elektronicznymi ulepszeniami, skóra. Zewnętrzną powłoką ochraniał człowieka, pozwalając mu przetrwać warunki normalnie zabójcze. W ciągu czterech milisekund mógł przykryć całą głowę

przezroczystym mikrofiltrem, który chronił przed działaniem próżni, promieniowaniem, mrozem, zmianą ciśnienia, jednocześnie umożliwiając oddychanie i nie krępując ani odrobinę ruchów. Mundury bez wątpienia były sukcesem naukowców pracujących w Chicago i w przeciwieństwie do budowanego tam okrętu flagowego nie budziły zastrzeżeń.

To pozwoliło załodze skupić uwagę na krytycznych wadach SS „Santlite 75”, takich jak za słaba główna kolumna kadłuba, którą dopiero tydzień temu wzmocniono na tyle, żeby uniknąć wstydlivego złożenia się statku wpół na oczach całej Floty. Tak poważne problemy wynikały z nagminnej rotacji głównych zarządców przedsięwzięcia. Budowę prowadziło pięć osób, a każda ginęła z rąk DARPA lub własnych średnio po czterech latach pracy. Nie sposób też było zliczyć masowo wymienianych specjalistów oskarżanych regularnie o terroryzm, szpiegostwo i działanie na szkodę Wielkiego Planu.

Do wieczornej odprawy zostało trzydzieści minut i Werstain zamierzał zmarnować cały ten czas, błogo leżąc w swoim bloku sypialnym na dużym, wygodnym łóżku. Zanim zamknął oczy, postanowił jeszcze raz powtórzyć przemowę na jutrzejsze oficjalne wprowadzenie okrętu do służby. Odchrząknął i wpatrzony w sufit, jak w halę pełną podwładnych, zaczął mówić.

– Wielki Plan dobiega końca. Zbudowaliśmy ponad osiem tysięcy okrętów, ale nie możemy zapomnieć o tych licznych, którzy poświęcili tak wiele, by zrealizować nasze marzenie o podboju gwiazd. Gdyby ktoś zapytał mnie dziś, dlaczego my, jako ludzkość, jesteśmy warci ocalenia, mimo że wciąż zabijamy z chciwości, nienawiści, zazdrości, to... – przerwał przerażony chwilą zwątpienia.

Miał czterdzieści lat, długą karierę w wojsku i od zawsze jeden cel: dowództwo najpotężniejszym okrętem we Flocie. Kosztem wielu siwych włosów osiągnął, co chciał, i w nagrodę otrzymał czarę gorzkiego sukcesu, z której spijał codziennie konsekwencje, dławiąc się podejrzeniami, że mógł popełnić wielki błąd. Doskonale jednak maskował wszelkie rozczarowanie pod naturalnymi zmarszczkami i odwracał uwagę od drobnych grymasów niezadowolenia błękitnymi oczami, błyszczącymi kontrastem do białych, niemal niewidocznych brwi i śniadej cery. Zawsze dokładnie ogolony, wyglądał niegroźnie i przyjaźnie. Odmawiał sobie wizerunku dowódcy i tylko długa, poprzeczna blizna na szyi, wystająca lekko nad kołnierz munduru, przełamująca ten łagodny obraz, dając wgląd we fragment tragicznej jego historii. Każdy, kto przyjrzał się jej bliżej, mógł odczytać nienawistne intencje niedosłego mordercy.

W otoczeniu swoich oficerów Werstain miał opinię człowieka spokojnego, odważnego, wręcz nieczulego. Według nich sprawnie zarządzał okrętem, a do sukcesu brakowało mu tylko charyzmy, której niedostatek, jak oczy, wybijał się i niweczył wszelkie próby zjednania sobie podwładnych. Posłuszeństwo jednak nie stanowiło problemu na pokładzie, bo od kilku lat jedyną konsekwencją niesubordynacji była utrata miejsca we Flocie i powrót na Ziemię. Nawet porwanie przez tajną policję DARPA dla wielu oznaczało łagodniejszy los.

Leżąc na łóżku, znów wbrew woli przygnieciony masą myśli, Werstain pracował oddechem, jakby nadzorował funkcjonowanie zaworów klasycznego silnika. Podnosząc i opuszczając pierś, odliczał minuty do wieczornej odprawy, dawno pogodzony z tym, że nie zmruży nawet na chwilę oka. W połowie jednego wydechu, na szyi, gdzie wewnętrzny mundur szczelnie przykrywał większą część blizny, poczuł drganie. To był sygnał, że dostał nowy rozkaz. Długość i siła wibracji oznaczały wysoki priorytet, więc bez zastanowienia zerwał się na nogi, by ominąć nieprzyjemny moment wstawania. Wymasował nagłym skurczem zaatakowany kark i włożył, dopiero przed chwilą zrzuconą, wierzchnią część munduru.

Procedura wpinania brunatnego kombinezonu w jego wewnętrzną część zabierała trochę czasu i wymagała uwagi, bo jak na złość, mnóstwo elementów, które trzeba było ze sobą spiąć, nie dawało się łatwo dopasować. Ubrany i orzeźwiony zaaplikowaną przez strój mieszanką specyfików na powrót włączył światło panelu i odczytał tych kilka zwięzłych zdań rozkazu. Potem opuścił swoją kwaterę i ruszył prosto do ośrodka dowódczego, przez wszystkich nazywanego gniazdem ze względu na swój status „najbezpieczniejszego miejsca na okręcie” z własnym systemem podtrzymywania życia i tytanowymi ścianami grubymi na trzy metry. Nie musiał korzystać z wind magnetycznych, które z wielkim trudem udało się zaimplementować na pokładzie, bo jego pokój był tuż obok.

W centrum dowodzenia, jak zwykle, panował spory ruch. Technicy stadami migrowali po sali, omijając stojący w jej środku duży, owalny stół z interaktywnym blatem i zawieszonymi powyżej czterema, skierowanymi w każdą stronę, ekranami. To był punkt dowódczy komandora. Naprzeciw znajdowały się dwa półkregi stanowisk oficerskich, z czego drugi usytuowano na platformie pod

ścianami pomieszczenia. Każda pracująca w centrum osoba miała wirtualny ekran, podobny do tego w pokoju Werstaina, i klasyczny panel do pracy dłońmi. W sali nie zamontowano foteli, bo komfort stojącym operatorom zapewniała obniżona siła przyciągania płyt grawitacyjnych. Niektóre stanowiska były zajęte przez oficerów, inne wciąż leżały rozebrane na części. Ogółem w pomieszczeniu stworzono dwadzieścia dziewięć pozycji kontrolnych, siedem kardynalnych w pierwszym rzędzie, dwadzieścia jeden operacyjnych w drugim oraz stół dowódcy. Za nim, w kącie sali, znajdowały się dwa ogromne, czarne bloki głównych komputerów wraz z małym stanowiskiem ich administratorów.

Przy masywnych drzwiach z pancernego szkła, stanowiących jedyne wejście do centrum dowodzenia, stało czterech w pełni umundurowanych żołnierzy podążających wzrokiem za komandorem, który właśnie wszedł do środka. Gniazdo buzowało specjalistycznymi rozmowami inżynierów, pośpieszną krzątanią techników, kłótniami operatorów o zakresy ich obowiązków i tylko pułkownik Poltan Weber, pierwszy oficer okrętu, zauważył drobny grymas na twarzy dowódcy.

– Pułkowniku, proszę wprowadzić gotowość bojową – zwrócił się Werstain do swojego długoletniego przyjaciela i zastępcy.

– To nie jest dobry moment na ćwiczenia – stwierdził Poltan. – Rozebraliśmy kilka silników manewrowych, bo okazało się, że mają źle zamontowane...

– To nie są ćwiczenia – przerwał mu komandor wpatrzony w blat stołu, gdzie w specjalnie wyznaczonym miejscu stał gorący kubek kawy. Spragniony łyka, poirytowany ciszą podwładnego, powtórzył głośniejszym głosem rozkaz. – Gotowość bojowa!

– Rozumiem – potwierdził Poltan i ceremonialnie odwrócił się w stronę najważniejszego stanowiska w pierwszym półkręgu. – Poruczniku Galien – zawołał do głównego oficera – proszę wprowadzić kod żółty – rozkazał i zamroził wzrok na mężczyźnie, który jeszcze przed chwilą prowadził rozmowę z technikiem i teraz, jak wyrwany ze snu, mamrotał coś pod nosem. – Wprowadź kod żółty! – krzyknął pierwszy oficer i przekleństwem dopełnił komendy.

Głośny, jednostajny sygnał rozległ się na wszystkich pokładach okrętu, a światło w centrum dowodzenia przybrało żółty, groźny odcień, rozświetlając także pasy sygnalizacyjne na mundurach całej załogi.

– Proszę oczyścić gniazdo – spokojnie polecił Werstain, nieadekwatną do sytuacji łagodnością tylko wzbudzając przerażenie wśród załogi.

Technicy zebrali w pośpiechu sprzęt i uciekli z sali, w zamian do środka wbiegło kilku oficerów i zajęło najważniejsze stanowiska. Kilka minut później porucznik Galien zgłosił pełne obsadzenie centrum dowodzenia, które powoli było odcinane od reszty okrętu masywnymi, przezroczystymi drzwiami. Jednocześnie blat owalnego stołu przed dowódcą wyświetlał gotowość poszczególnych segmentów statku, zapalając na żółto kolejne pola w kolumnie. Jako ostatni zabłyśł pokład myśliwców.

– Dwanaście minut, komandorze – zgłosił Poltan, obserwując zegar zliczający czas od momentu wydania rozkazu do uzyskania pełnej gotowości bojowej.

– Dwanaście minut jest nie do zaakceptowania – stwierdził Werstain.

– Daleko nam do perfekcji, to racja. Jaki jest cel misji?

– Terrorysty – odpowiedział komandor i zwrócił się w stronę stanowiska kontroli przestrzeni. – Pełny skan – rozkazał i już po chwili na panelu przed sobą miał mapę ze wszystkimi okrętami na orbicie, w tym obcymi i wrogimi. Osiem czerwonych sygnatur wyraźnie łamało szyk Floty. – Oznaczyć te statki jako cele – wydał komendę, po czym uruchomił wewnętrzną komunikację pozwalającą mu adresować wypowiedzi do załogi. Krótki, wysoki sygnał oznajmił im, że dowódca za chwilę przemówi.

– Tu komandor – powiedział, a mundur przechwytywał jego głos i odtwarzał na każdym pokładzie – przed chwilą otrzymałem informację, że osiem naszych jednostek z orbitalnej bazy Saturn zostało porwanych przez jedno z ugrupowań terrorystycznych. Ich tożsamość i cel nie są na razie znane, ale dowództwo podejrzewa najgorsze. Nie możemy pozwolić, by wykorzystali te okręty przeciwko nam, a zwłaszcza ludności na powierzchni planety, dlatego dostaliśmy rozkaz ich przejęcia lub zniszczenia. Zamierzam ten rozkaz wykonać. Więcej informacji wkrótce. Bądźcie czujni, pięć z tych jednostek zostało ciężko uzbrojonych.

Spojrzenia oficerów w gnieździe, jak promienie światła reflektorów, skupiły się na dowódcy. Jego rozkaz nie pozostawiał złudzeń. Czekala ich pierwsza w historii prawdziwa kosmiczna bitwa, na którą nikt nie był gotowy, bo choć rozpisano strategię, to zawsze brakowało czasu na ćwiczenia. Operatorzy

przeszyci przywleczonym z Ziemi strachem wyczekiwali z wstrzymanymi oddechami kolejnych poleceń.

– Chcesz je przejąć abordażem? – zapytał Poltan, podkreślając zwątpienie w ostatnich słowach. Pochylony nad panelem obserwował dowódcę z drugiej strony stołu.

– Jeśli będziemy w stanie – odparł Werstain, rozumiejąc, jak trudne stawia sobie zadanie. Nawet jeśli terroryści okażą się zwykłymi pracownikami stacji kosmicznych, którzy postanowili szukać szczęścia samodzielnie, to abordaż w przestrzeni kosmicznej przy dużych prędkościach byłby absurdalnie niebezpieczny. – Panie Sellan – komandor uchwycił uwagę oficera technicznego. – Proszę rozpocząć procedurę uruchamiania głównych silników w trybie awaryjnym.

– Awaryjnym? – zapytał zdziwiony mężczyzna.

– Czyli jak najszybciej. Proszę pominąć zbędne punkty instrukcji – tłumaczył Werstain z sarkazmem, który pobrzmiwał bardziej szaleństwem niż specyficznym humorem.

– Tak jest – odpowiedział oficer i zabrał się do pracy. Przez dobrych kilka chwil próbował przekonać swoich techników w salach silnikowych, że rozkaz nie jest żartem. Po latach orbitowania z wykorzystaniem klasycznego napędu wspomagającego okręt mógł wreszcie uciec lokalnym siłom grawitacyjnym, wykorzystując czternaście wielkich jak wieżowce, rozłożonych wzdłuż kadłuba silników absorbowych. Ich start wywołał na pokładzie odczuwalne wstrząsy. – Rozruch zakończony. Wchodzimy w fazę testów – zgłosił mężczyzna zaskoczony pierwszym sukcesem.

– Proszę pominąć testy. Nie mamy na nie czasu – rozkazał komandor. – Okręt albo poleci, albo się rozleci. Mam dość testów, a terroryści uciekają.

– Rozumiem. Przełączam napęd w tryb aktywny.

– Wyprowadźcie nas z orbity!

– Komandorze – zgłosiła się Ellen będąca oficerem kontroli przestrzeni. – Okręty terrorystów kierują się w stronę księżycy i przełamały już II prędkość kosmiczną. Z obliczeń komputera wynika, że przy obecnej trajektorii po oblocie orbity nie dogonimy ich przed osiągnięciem prędkości Aspera.

– Dlatego przełamiemy orbitę – swobodnie oznajmił Werstain, przeglądając na stole przed sobą szczegółowe raporty ze stanu okrętu, jednocześnie słuchając szeptanych w tle głosów oburzenia.

– Ale, ale... jak to? – zapytał Alias Onstrom, który byłby odpowiedzialny za tak skrajnie niebezpieczny manewr. Stał przy drugim stanowisku pierwszego półokręgu, tuż obok głównego oficera. To on sterował SS „Santlite 75” i nie spodziewał się, że pierwszym jego poważnym zadaniem będzie zniszczenie okrętu. Nie musiał robić specjalnych obliczeń, żeby wiedzieć, że próba wyrwania statku w kontrze do obecnej trajektorii lotu po orbicie doprowadzi do jego rozerwania i katastrofy. Nawet jeśli to komputer wykonuje dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracy i uwzględnia uszkodzenia, wady i wytrzymałość materiałów, to nie jest w stanie przewidzieć tych kilku niedbale zespalanych elementów, które nieodnotowane w systemie mogą doprowadzić do rozszczelnienia okrętu, a w konsekwencji do lawinowego rozpadu poszycia i bardzo efektywnej zagłady jednostki flagowej.

– Proszę wyrwać nas z orbity – powiedział Werstain, kończąc własne obliczenia, które mógł przeprowadzić tylko dzięki wspomagającej mocy obliczeniowej munduru.

– Taki manewr rozerwie okręt na kawałki! – zaprotestował Alias, rozglądając się wokół w poszukiwaniu wsparcia dla swojej tezy. – To zbyt niebezpieczne! Nie mogę zaryzykować życia dziesiątków tysięcy ludzi i najważniejszego statku we Flocie.

– Odmawiasz wykonania rozkazu? – zapytał komandor, natychmiast ucinając szum niezadowolonia. Jego błękitne oczy, podkreślone wolno pulsującym żółtym światłem centrum, zawisły nad Aliasem jak widmo wyroku.

– Chcę tylko uniknąć tragedii. Okręt nie jest gotowy na takie...

– Misje? – dokończył za niego Werstain. – Chcesz powiedzieć, że budowany ponad dwadzieścia lat okręt nie jest gotowy na takie misje? – zapytał, rozkładając szeroko dłonie na blacie dowódczego panelu.

– Nie, komandorze – odpowiedział Alias i poczuł niekontrolowane drżenie, które wspinało się po jego nogach, przez biodra, barki, wprost do głowy, zdradzając wszystkim wokół zalewający go potem strach.

– Widzę, że nie rozumiesz. Jesteśmy na wojnie, ale nie z wrogiem, którego możemy łatwo pokonać. To nie jest wróg, który popełnia błędy i daje nam drugą szansę. Walczymy z czasem, a ten, jeśli nie zauważyłeś, nam ucieka! Zauważyłeś?!

– Tak jest, komandorze – potwierdzał Alias, jak słomiana tarcza rozsypując się pod naporem kolejnych ciosów. Nikt w sali nie chciał mu pomóc.

– Wątpię – bąknął z uśmiechem Werstain. – Jeśli ten okręt ma poprowadzić Flotę przez pustkowia kosmosu – mówił do wszystkich w gnieździe – jeśli ma ją chronić przed cholera wie czym, jeśli ma dać ludziom wiarę, że te pięćdziesiąt lat nie poszło na marne, to musi być niezniszczalny w głowach jego załogi i w strukturze! Jeśli teraz odpuścimy, bo ogarnął nas strach przed prostym manewrem, do którego okręt został zaprojektowany, to w ogóle możemy darować sobie lot, wrócić na Ziemię i czekać na śmierć. A jeśli zginiemy wykonując ten manewr, to co z tego? To będzie tylko znaczyło, że okręt nigdy nie był gotowy do działań, a cały włożony w niego wysiłek poszedł na marne. Innymi słowy i tak byliśmy martwi, tylko o tym nie wiedzieliśmy! Nie wiedzieliśmy! – powtórzył groźnie, zahaczając wzrokiem o Aliasa, w którym strach zdążył przerodzić się ciągiem w złość, rozczarowanie i na końcu obojętność.

– Co jest z wami?! – ryknął pierwszy oficer, maszerując przed pierwszym półkrygiem, jak na defiladzie zwycięstwa. – Jeśli ktoś nie ma ochoty wykonywać rozkazów, to może wrócić na Ziemię i stamtąd podziwiać to cudo techniki! Jacyś chętni?! – krzyknął na całe gardło prosto w twarz Aliasa.

– Nie, panie pułkowniku – chłodno odpowiedział oficer.

– Cieszy mnie to.

– Przełamać orbitę! – krzyknął Werstain i uderzył pięścią w blat panelu dowódczego.

– Tak jest – potwierdził Alias i zabrał się do pracy stłamszony i poddany, jakby ktoś wyrwał mu serce. Nie miał ochoty walczyć za innych, tak jak nie bardzo chciał wracać na Ziemię, gdzie nikt już na niego nie czekał, nawet siostra.

Poltan, pierwszy oficer, zawsze dumny i chętny, by nakrzyczeć na podwładnych, stanął obok komandora z dłońmi na plecach, jakby do raportu.

– Tylko czy główna kolumna kadłuba wytrzyma? – luźno werbalizował swoje myśli.

– Zaraz się przekonamy – odparł komandor.

Czternaście potężnych silników zawyło odczuwalnymi drganiami, przebijając grube tytanowe ściany gniazda i wlewając lęk w serca załogi. Dźwięki wykręcane metalu wypełniły okręt, a komandor z kamienną twarzą obserwował kolejne czerwone alerty wyświetlane na owalnym stole. Naprężenia rozgrzewały walczącą z grawitacją masę, której jęki przypominały ryk rozszarpywanego kłami zwierza. Nawet najnowocześniejsze kompensatory grawitacyjne nie były w stanie całkowicie zniwelować ogromnych przeciążeń, jakie nagła zmiana kierunku lotu wywołała. Kurczowo trzymając się paneli, oficerowie zaciskali zęby, czując zgniatające ich wewnętrzności siły. Trzy minuty później hałas ustał. „Santlite” opuścił grawitacyjną kołyskę Ziemi i uzyskał stabilną prędkość, podążając za okrętami terrorystów. Pierwszy prawdziwy test statek przeszedł pomyślnie, choć stół dowódczy wyświetlał kilka istotnych uszkodzeń, do których ruszyły już ekipy techniczne.

– Przy obecnym przyspieszeniu za dwie godziny dogonimy porwane okręty – zgłosiła oficer kontroli przestrzeni, jak inni zaskoczona tym, że wciąż żyje.

– Pułkowniku, zapraszam – zwrócił się do swojego pierwszego oficera Werstain i wskazał dłonią niewielkie drzwi między blokami komputerów. Pierwszy ruszył w stronę sali narad, z której dowódcy mogli korzystać, nie opuszczając gniazda. W środku czekał na nich wielki stół operacyjny, a na nim statystyki zaopatrzeniowe z popołudniowej narady. – Co myślisz? – zapytał komandor, gdy tylko drzwi za nimi kliknęły, zgłaszając pełne zamknięcie. Cenił opinię pierwszego oficera, uważał go za dobrego zastępcę, który doskonale wiedział, jak budować relacje z podwładnymi. W ich obecności Poltan był szorstki, agresywny, bezwzględny, choć w towarzystwie przyjaciół ujawniał naturę spokojnego rozsądnego myśliciela. Miał trzydzieści sześć lat, nie za wiele ambicji i strzelające głośno stawy.

– Myślę, że to w większości cywile, zwykli robotnicy, choć dobrze zorganizowani – ujawniał swoje podejrzenia pułkownik. – Na pewno mają lidera, więc jest szansa, by zakończyć sprawę pokojowo.

– Zniszczyć lub przejąć, taki jest rozkaz – stwierdził komandor i jednym spojrzeniem wyłączył porzucone na stole raporty.

– Przejąć będzie bardzo trudno. Nikt nigdy takiej operacji nie wykonywał, a my mamy ile, dwie godziny, żeby się przygotować? Zniszczenie może być jedyną opcją.

– Pewnie na to liczą.

– To by było ludobójstwo, tam musi być kilka tysięcy ludzi.

– Szukam wyjścia. Jeśli jakieś masz, będę wdzięczny – powiedział Werstain i uruchomił ekran na drugim końcu sali. – Połączenie z podpułkownikiem Donersanem – wydał komendę. Na ścianie wyświetliła się ikona oczekującej rozmowy, a po niej całą przestrzeń zajęła ogromna szorstka twarz mężczyzny o szyderyczym spojrzeniu.

– Komandorze – powiedział żołnierz, już pierwszą sylabą zdradzając niechęć do Werstaina.

– Podpułkownik, za mniej więcej dwie godziny dogonimy statki rebeliantów. Zamierzam przekonać ich do złożenia broni, ale domyślam się, że szanse na sukces są niewielkie.

– Zerowe – wtrącił Donersan, niemal wsadzając wielką głowę do sali.

– Wszystko zależy od tego, kto nimi dowodzi. Pułkownik Poltan zbierze dostępne informacje o nich, ale abordaż może okazać się niezbędny. Proszę przygotować się do misji, szczegóły zostawiam panu. W ciągu godziny oczekuję wyznaczonego oficera operacyjnego w centrum dowodzenia. To wszystko.

– Jesteśmy już prawie gotowi, a rozkazy mam z góry. Czekam na sygnał, gdy będziemy już blisko – odparł podpułkownik i natychmiast zerwał połączenie, tak jakby komandor marnował jego czas.

– Myślisz, że zależy im na masakrze? – zapytał przyjaciela Werstain.

– Chcą pokazać, co spotyka tych, którzy się przeciwstawiają. To prezentacja siły przed rozpoczęciem ewakuacji. Myślę, że nawet wolą masakrę niż odzyskanie okrętów – szczerze odpowiedział pierwszy oficer, próbując odczytać znaczenie kolejnego grymasu na twarzy dowódcy. Nie był pewien, czy Werstain mruży oczy pod zaciśniętymi brwiami, bo dręczy go nadmiar światła, czy też jest zżerany presją sytuacji. – Komandorze, zniszczenie tych okrętów może okazać się najlepszym rozwiązaniem. Od tego, czy zapanujemy nad tym chaosem, będzie zależało powodzenie całego Wielkiego Planu, więc specjalnie nie mamy wyboru – przekonywał, ale jego dowódca milczał, wpatrzony w drzwi jak w bramę ognia, przez którą przyjdzie mu za chwilę przejść.

– Jeśli chcemy uniknąć przelewu krwi – mówił powoli i cicho komandor – to musimy przekonać tego, kto organizuje rebeliantów. Dowiedz się, kim jest, a może ocalimy dziś parę istnień – rozkazał i nawet nie spoglądając na swojego pierwszego oficera, wyszedł z sali.

Poltan rozumiał dylemat dowódcy. Nie mógł wykonać rozkazu, nie mógł go też nie wykonać, a wszystkie drogi pośrednie byłyby zbyt ryzykowne, by admiralicja je zatwierdziła. Do końca świata pozostało kilka miesięcy i przyszłość układała się w coraz wyraźniejszą formę. Nikt nie chciał kończyć historii ludzkości lub zaczynać nowej ludobójstwem, a widmo takiej masakry wisiało właśnie nad całą załogą. Jednak za zbrodnie żołnierzy zawsze odpowiadał ich przełożony i Poltan miał tego świadomość, dlatego kilka razy zrezygnował z okazji, by wziąć w dowództwo własny okręt. Nie każdy potrafi dźwignąć ciężar odpowiedzialności za życie tysięcy ludzi.

Czas pędził, nieubłaganie, zbliżając załogę SS „Santlite 75” do pierwszej konfrontacji. Zamknięty w swej myśli, odcięty od świata Werstain wpatrywał się w symbole okrętów wolno sunące po wyświetlanej na panelu mapce. Tak pochylony, skupiony szukał rozwiązania tego problemu bez wyjścia, a jego koncentrację rozbił automatyczny komunikat okrętu, który kobiecym, ale chłodnym głosem oznajmił: – *Uwaga, wykryto anomalie, zalecana ostrożność.*

– Co to za ostrzeżenie? – zapytał wyrwany z wielowątkowych rozmyślań.

– Dostajemy taki komunikat od kilkunastu godzin – zgłosił główny oficer, Androt Galien. – Nie wiem dlaczego teraz system zaczął puszczać go na głos.

– Czego dotyczy? – poprosił o wyjaśnienie Werstain, zagłuszony kolejnym komunikatem okrętu.

– *Uwaga, wykryto anomalie, zalecana ostrożność.*

– Czy ktoś mi wyjaśni, dlaczego komputer ostrzega nas przed anomaliami? – zapytał głośniejszym głosem.

– Informacja dotyczy wadliwych kamer na Księżycu – wytłumaczył Galien. – Jest jakiś błąd i komputer traktuje go jak anomalie.

– To mamy kamery na Księżycu?

– Tak, to projekt obserwacyjny zainstalowany, by monitorować ciemną stronę Księżyca, oficjalnie w celach badawczych – dodał oficer. – Nie wiemy, dlaczego system ciągle zgłasza z tym związane błędy. Administrator nad tym pracuje – wyjaśnił i spojrzął na młodego chłopaka przy stanowisku obok bloków komputera.

– Mamy sygnał z tych kamer? – zapytał komandor nauczony doświadczeniem, by nie ignorować takich ostrzeżeń.

– Tak.

– Wyświetl – polecił i pokazał palcem zawieszony nad głową cztery duże monitory.
– Sprawdzam już pobieżnie sygnał z tych urządzeń – poinformował Galien, coraz bardziej zakłopotany – ale kamery nic nie pokazują. To musi być jakiś błąd systemu. Ich status jest aktywny, ale jak widać, nie działają. To pewnie dlatego komputer zgłasza anomalię – powiedział i uciął. Z uwagą obserwował wędrującego wokół stołu i wpatzonego w czarne ekrany komandora. Coś najwyraźniej nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił uchwycić co.

– Dwanaście minut do wejścia terrorystów w strefę zasięgu ognia – zgłosiła oficer kontroli przestrzeni.

Wszystkie ważne stanowiska w gnieździe były już zajęte. W pierwszym półkręgu siedmiu operatorów, łącznie z ogniowym, operacyjnym i lotnictwa, przygotowywało się do misji, a za ich plecami rozkazu rozpoczęcia ostrzału wyczekiwało dziewięciu kontrolerów uzbrojenia. Teoretycznie „Santlite 75” umożliwiał dowódcy samodzielne sterowanie każdym aspektem okrętu i to za pomocą komend umysłowych, jednak tak niszczycielska siła nie mogła pozostawać bez nadzoru człowieka. Poza tym na polu bitwy sytuacja zmieniała się błyskawicznie i bez dystrybucji zadań między oficerów łatwo było o pomyłkę.

– Przyjąłem – potwierdził komandor i wciąż patrzył w czarny ekran nad swoją głową. – Mamy inne ujęcie? – zapytał.

– Tak jest, przełączam je, ale wszystkie są tak samo czarne – zgłosił Galien, równocześnie rozdzielając rozkazy między sekcje okrętu.

– Ich przywódcą jest Tasajev Krotsky – powiedział Poltan, wychodząc z sali narad, w której przez ostatnie dwie godziny zbierał informacje na temat porwanych statków. – Z tego, co wyczytałem, wynika, że jest antyrządowym fanatykiem i terrorystą z kilkoma poważnymi zamachami na koncie – relacjonował, zajmując miejsce obok komandora. – Prawdopodobnie na pokładzie ma setki swoich oddanych bojowników – kontynuował zaciekawiony włączonymi, ale czarnymi ekranami nad głową. – On jest niepočitalny i bardzo niebezpieczny, do tego w bazie nie ma żadnych o nim zapisów przed 2124 rokiem, tak jakby zmienił tożsamość czy współpracował z jakąś agenturą. Na pewno jest zdolny do wszystkiego. Myślę, że otworzą ogień, jak tylko znajdą się w zasięgu.

– Chorąży Petson! – zawołał oficera operacyjnego komandor. – Jaki jest status przygotowań do abordażu?

– Podpułkownik Donersan zgłasza gotowość ośmiu grup taktycznych przydzielonych do każdego okrętu. Czekają na rozkaz i proszą o wsparcie ogniowe w celu ukrycia ich podejścia – raportował młody chłopak.

– Rozumiem – powiedział Werstain i skierował się w stronę głównego oficera. – Proszę wysłać terrorystom agresywne żądanie rozmowy z ostrzeżeniem, że brak odpowiedzi spotka się z użyciem siły – polecił. By rozluźnić swój sztywny kark przed rozmową, odchylił głowę do tyłu, jeszcze raz spoglądając na czarny obraz z kamer na Księżycu. – Nie ma gwiazd – stwierdził.

– Gwiazd? – zapytał Poltan, skoncentrowany na panelu dowódczym.

– Na tych ujęciach nie ma gwiazd, a powinny być.

– Powinny? – pierwszy oficer powtarzał usłyszane, ale w kontekst nie ubrane, słowa.

– Stop! – krzyknął Werstain, zatrzymując przeskakujące ujęcia. – Jedno wstecz – rozkazał.

Po chwili całe gniazdo było wpatzone w zawieszony pod sufitem ekran, na których większa część obrazu wciąż zawierała nic nieznaczącą czerń, odgradzoną jednak wyraźną linią od stłumionych światel milionów gwiazd.

– To musi być gigantyczne – mimowolnie stwierdził Poltan, otwierając szeroko usta.

– Możemy oddalić obraz? – zapytał głównego oficera komandor i obserwował, jak czerń nabiera znany mu kształt.

– To jakiś okręt? – próbował zgadywać pierwszy oficer. – Musi być zawieszony tuż nad powierzchnią, jakim cudem? – zapytał i wyświetlił ten sam widok na panelu dowódczym przed sobą. Pochylony nad stołem śledził linię między czarną otchłanią a rozświetlonym gwiazdami niebem.

– Majorze Olterian – Werstain zwrócił się do oficera lotnictwa, który zajmował miejsce w pierwszym rzędzie stanowisk. – Proszę wysłać zwiad w stronę tego obiektu. Misja tylko obserwacyjna.

– Tak jest.

– Komandorze, terroryści nas wywołują! – zgłosił główny oficer.

– Gotowy? – zapytał swojego zastępcę Werstain i nie widząc sprzeciwu, odebrał rozmowę. Na panelu dowódczym pojawiła się pomarszczona twarz mężczyzny, któremu wygląd nie robił najmniejszej różnicy. Zarośnięty, brudny, uśmiechał się poźółkłymi zębami, a szczególną uwagę przykuwał pobłyskującymi czerwienią oczami. Jego źrenice generowały delikatną, szkarłatną poświatę, odczłowieczając go i budując wokół aury niepoczytalności i bezwzględności. Miał pięćdziesiąt pięć lat, poharatane policzki i biomechaniczny wzrok.

– Komandor Storen Werstain, SS „Santlite 75”. Czy rozmawiam z Tasajevem Krotkym?

– Zgadza się, komandorze. Wiedziałem, że nie wyślą za nami byle kogo. Rozumiem, że wasze rozkazy są proste. Zabić, zniszczyć, zatrzeć ślady? – zapytał mężczyzna z sarkastycznym, zgniłym uśmiechem.

– Zgadza się. Nie negocjujemy z terrorystami.

– Nie spróbujecie nawet zmusić nas do poddania?

– A poddacie się?

– Oczywiście, że nie.

– W walce nie macie żadnych szans, nie przetrwacie jednej salwy z „Santlite”, a ucieczka też nie jest możliwa. Dopadniemy was, zanim osiągniecie prędkość Aspera – zagroził konsekwencjami Werstain.

– Gdybyś wiedział, komandorze, od czego uciekamy, nie próbowałbyś podważać naszej woli walki – przekonywał Tasajev urażony banalnym podejściem dowódcy ścigającej go jednostki. – Nie ma dla nas gorszego koszmaru niż ten, który zgotowaliście nam na Ziemi. Śmierć jest dla nas wybawieniem i przyjmiemy ją z godnością, jeśli tak zdecyduje los. Nie poddamy się jednak bez walki.

– Chcecie z nami walczyć?

– Komandorze, jeśli odrobił pan swoją lekcję, to wie pan, że moim celem nie jest walka.

– My też wolelibyśmy uniknąć konfrontacji – natychmiast przyznał Werstain, szukając wspólnego gruntu do rozmowy.

– Nie jesteśmy w sytuacji, by marnować okręty – stwierdził z nieludzkim, wręcz makabrycznym uśmiechem Tasajev. – Komandorze, widzę, że jest pan rozsądnym człowiekiem. Jak pan myśli, ile jeszcze kul armatnich musi zostać wystrzelonych, zanim zostaną na zawsze zakazane? – zagadkowo zapytał. – I czy zdążymy przed końcem świata? – dodał z sarkastycznym rechem, traktując rozmowę jak okazję do żartów. – Komandorze, po co to wszystko. Nie zrezygnujemy i będziemy walczyć do końca.

– Rozumiem, niech więc tak będzie – powiedział Werstain i jednym dotykem na panelu dowódczym zerwał połączenie. – Coś jest nie tak – zwrócił się do Poltana.

– Za dwie minuty będą w skutecznym zasięgu naszego rażenia – zgłosiła oficer kontroli przestrzeni.

– Komandorze! – zawołał oficer lotnictwa. – Straciłem kontakt z naszymi myśliwcami.

– Zniszczone?

– Nie wiem, zniknęły z radaru, nie mam sygnału.

– Więc zostały zniszczone – spokojnie stwierdził Werstain i spojrzał na ekran nad panelem dowódczym, gdzie wciąż wyświetlał się tajemniczy obiekt. Potem przyłożył dłoń do blatu i rozkazał: – Poruczniku Galien, kod czerwony.

Chwilę później głośny, metaliczny i jednostajny sygnał obwieścił zmianę statusu i wejście w strefę działań wojennych, a żółtą aurę gniazda zastąpiła czerwona, rozświetlając krwistym kolorem także mundury załogi.

– *Wprowadzono kod czerwony* – zgłaszał automatyczny system okrętu. – *Uzbrojenie odblokowane.*

Nikt na pokładzie SS „Santlite 75” nie miał doświadczenia w prawdziwej bitwie kosmicznej, bo nigdy wcześniej żadna nie miała miejsca. Oprócz kilku wypadków i stosunkowo niegroźnych konfrontacji z rosyjską flotą i jednej z nimi drobnej potyczce nie było okazji przećwiczyć procedur i strategii działań wojennych w warunkach otwartej przestrzeni. Z tego powodu w gnieździe strach dawał się odczuć w każdym wykonywanym rozkazie, a wszystkie spojrzenia oficerów w stronę ich dowódcy zawierały cichą, niezwerbalizowaną prośbę, by zachował maksymalną ostrożność, zwłaszcza że mieli do czynienia z obcą, tajemniczą technologią i grupą gotowych na śmierć terrorystów.

– Komandorze, wyślijmy sondy – zalecił Poltan.

– Dwie w stronę Księżyca, jedną na poszukiwanie naszych myśliwców – rozkazał Werstain. – Niech lecą na granicy wzajemnego pola obserwacji, byśmy mogli zobaczyć z drugiej sondy, jak zareagują na pierwszą.

– Pierwsza sonda w locie – zgłosiła oficer kontroli przestrzeni, coraz szybciej reagując na polecenia. – Na orbitę ciemnej strony Księżyca dotrze w dwanaście minut.

– Czy mamy jakiegokolwiek odczyty tego obcego statku? – zapytał pierwszy oficer.

– Nie, według urządzeń nic tam nie ma. Komandorze, okręty terrorystów są już w zasięgu ognia.

– To znaczy, że my jesteśmy w ich zasięgu. Część z nich dysponuje raketami PAN – ostrzegwał Poltan.

– Starego typu. Jesteśmy w stanie je zestrzelić – kontrował komandor. – O ile system RAPID działa – dodał pod nosem. – Namierzyć wszystkie ich okręty! Dziesięć rakiet SCAN na każdą jednostkę!

– Okręty terrorystów się rozpraszają! – zgłaszała Ellen ze stanowiska kontroli przestrzeni.

– Szykują się do ataku – przewidywał Poltan. – Jeśli abordaż ma mieć sens, to muszą być w grupie – stwierdził i wygenerował trójwymiarową mapę przestrzeni nad panelem dowódczym.

– Raczej chcą uciec. – Komandor kiwnął przecząco głową. – Tasajev nie jest głupi. Wie, z kim walczy, i na pewno ma świadomość naszej przewagi. Poza tym kierują się w stronę Księżyca. Myślisz, że widzą ten okręt?

– Jeśli my nie mamy żadnych jego odczytów, to oni tym bardziej.

– Ale wciąż lecą w stronę Księżyca, tak jakby byli z nim umówieni – podejrzliwie stwierdził Werstain. Spoglądał raz na mapy przestrzeni, gdzie czerwone punkty gnały w stronę naturalnego satelity Ziemi, raz na podwieszony ekran, na którym obcy okręt nadal tkwił w bezruchu.

– Może chcą w ten sposób dodatkowo się rozpędzić – sugerował pierwszy oficer – w końcu zbliżamy się do granicy Aspera – dodał i wywołał na panelu długi ciąg obliczeń, by sprawdzić, na ile przyciąganie Księżyca może pomóc im uzyskać większą prędkość.

– Podpułkownik Donersan czeka na sygnał – przypominał chorąży Petson ze stanowiska oficera operacyjnego.

– Niech czeka!

– Komandorze! – zawołał główny oficer i zamilkł wpatrzony w swój ekran.

– Co się dzieje?

– Mamy sygnał rozmowy.

– Terroryci? – zapytał Werstain.

– Nie, sygnał dociera z Księżyca, z tego okrętu – powiedział oficer i wprawił wszystkich w osłupienie. – Jest tylko audio – dodał i zamilkł niepewny reakcji komandora.

– Używają znanych nam sygnałów – zauważył Poltan. – Może to jednak nasz okręt? Jeden z tajnych projektów Andersa? – zastanawiał się.

– Wiedzielibyśmy o tym – odparł komandor. – Zobaczmy, czy znają też nasz język!

– Co z terrorystami? – zapytał główny oficer.

– Mamy czas. Otwórzcie sygnał z obcego okrętu! – rozkazał Werstain, a gniazdo zaległo ciszą, której ciężar wgniół oficerów w podłogę. Dopiero jej głos, jak suma wszystkich rozkoszy, rozniósł wśród nich odprężenie, częstując słodyczą brzmień każdego człowieka z osobna i całą załogę naraz, wciąż utrzymując nasycenie absolutną, nieopisaną błogością najmniejszej wibracji powietrza.

– Dzień dobry! – przywitała się tajemnicza postać, puchem niewidzialnego uśmiechu amortyzując skumulowane w pomieszczeniu napięcie. – Miło mi was poznać. Szkoda, że musimy rozmawiać w tak nieprzyjaznych okolicznościach, ale niestety nie ma na to rady – powiedziała ze smutkiem niezaspokojonej pokusy poznania ich wszystkich osobiście. – Wasza świadomość mojej obecności to problem, który chciałabym rozwiązać pokojowo. Jest na to szansa? – zapytała, ale nikt nie odpowiedział. – Halo? – szukała uwagi wśród zszokowanych oficerów.

– Kto mówi? – Werstain przełamał błogą niemoc sączącej się przez uszy przyjemności. – Przedstaw się, proszę – dodał, gubiąc swoją śmiałość.

– Niestety nie mogę tego zrobić – z przykrością stwierdziła kobieca postać – choć bardzo bym chciała. Cóż, taka okoliczność. Za to mogę was zapewnić, że przybywam w pokoju – dodała z kwitnącą radością, a potem eksplodowała przez głośniki chichotem rozbawiona faktem, że mogła wypowiedzieć tę klasyczną filmową kwestię. Jej głos tak aksamitny, dźwięczny, wręcz miodem płynący, jak woda ciepłego strumienia, nie mógł należeć do przeciętnej osoby ani istoty ludzkiej w ogóle. – Jesteście bezpieczni, tylko nie strzelajcie do okrętów Tasajeva, dobrze? Poznaliście go już? –

zapytała ciekawa o nim opinii. – Ja miałam okazję. W gruncie rzeczy to dobry człowiek – zapewniała załogę, jakby prowadziła z nimi rozmowę przy kawie, w każdym słowie brzęcząc wiosenną zabawą roztańczonych motyli i pszczołek.

Werstain jęknął coś niezrozumiale, próbując zbudować rozsądne zdanie, ale szybko poddał się obezwładniony melodią jej głosu. Dziewczyna, jak syrena morska, odurzyła go i całą załogę, chwilą ciszy wpędzając ich w nieznośną tęsknotę za swoim uśmiechem, którego wyobrażenia pęczniały im w głowach, wypychając wszystkie inne myśli.

– Halo? – zapytała wyraźnie przejęta brakiem reakcji. – Jesteście tam?

– Czy to ty... wy... zniszczyliście nasze cztery myśliwce? – w końcu zapytał komandor z nieśmiałością zakochanego nastolatka.

– Nikt ich nie zniszczył, są całe i w pełni sprawne, tylko chwilowo wyłączone, tak jak wasze sondy.

Werstain spojrzął na oficer kontroli przestrzeni, która przerażonym spojrzeniem potwierdziła mu utratę sygnałów z wszystkich trzech maszyn. – Jaki jest wasz cel? – zapytał, usilnie budując głosem powagę sytuacji.

– Jeśli myślisz, że naszym celem jest atak na waszą planetę i eliminacja wszelkiego życia, to muszę cię rozczarować – odpowiedziała dziewczyna, ewidentnie strojąc sobie żarty. – Mam inne plany, które niestety wymagają tego, bym na chwilę, ale tylko chwilę, przejęła kontrolę nad waszym okrętem. Czy to nie problem? – z kurtuazją zapytała.

– Zerwać połączenie! – ryknął Poltan, wyrывая się z przyjemnego otepienia.

– Tryb autystyczny! – Werstain rozkazał głównemu oficerowi, który aż podskoczył z przerażenia i w pośpiechu wykonywał polecenia.

– *Uwaga! Łączność zerwana. Tryb autystyczny włączony* – oznajmił okrutnie sztuczny i szorstki głos okrętu, a wielki czerwony symbol zamkniętego koła wyrósł na panelu dowódczym, sygnalizując całkowite komunikacyjne odcięcie jednostki.

– Podnieść losowe zapory do poziomu zamrożenia! – dodał Poltan, przykładając dłoń do blatu stołu, by zablokować możliwość edycji plików i uruchamiania aplikacji.

– Przepraszam, ale to naprawdę zajmie tylko chwilę – wstydliwie jęknęła dziewczyna.

Gdy ucichła, wszystkie ekrany w gnieździe wyświetliły komunikat o planowanym restarcie systemu w ciągu trzech sekund. Po ich odliczeniu na statku zapadł mrok. W ciemności, oderwani od ziemi, bo wyłączone zostały także płyty grawitacyjne, oficerowie dryfowali w powietrzu bezwładni, jak ich kubki z oswobodzoną kawą. Bezradni i ślepi pływali tak chwilę, a potem opadli na podłogę i z jękiem wstawali, znów otoczeni białym światłem. Na świeżo uruchomionych ekranach wyświetliły się alerty o nieautoryzowanym dostępie do systemu.

– Przełamuj bariery! – krzyknął Galien, widząc na panelu pochłanianie czerwienią kolejne zabezpieczenia systemu. – Pięć sforsowanych, nie, już osiem... – zgłaszał kolejne ostrzeżenia. W końcu podniósł wzrok i mruknął: – Wszystkie.

W tle rozległ się okropny gwizd systemu alarmowego, a po nim załoga usłyszała serię komunikatów, jeden po drugim, jakby utrata kontroli następowała szybciej, niż komputer był w stanie o tym informować.

– *Uwaga, wykryto nieautoryzowane wejście do podsieci systemu.*

– *Uwaga, wykryto nieautoryzowane wejście do rdzenia haseł dostępu.*

– *Uwaga, zagrożenie utraty kontroli. Uruchamiam awaryjny reset systemu.*

Znów zgasło światło, a gdy system ponownie się uruchomił, był już pod pełną jej kontrolą.

– I po bólu – z westchnieniem rzekła dziewczyna zmęczona, ale zadowolona z dobrze wykonanej pracy.

– Przywrócić kod czerwony! – z desperacją zażądał komandor, przykładając do panelu dłoń.

Nic się jednak nie działo, a każdy oficer w gnieździe po kolei zgłaszał, że stracił wszelką kontrolę. Nawet administratorzy systemu, schowani w kącie za plecami dowódcy, kręcili przecząco głowami i wzruszali ramionami. Jeden z nich wbiegł bezpośrednio do bryły komputera, ale bardziej ze wstydu niż z wiary, że cokolwiek będzie w stanie zmienić.

– Chcecie przywrócić to brzydkie agresywne światło? – zapytała dziewczyna. – Mogę je włączyć, chociaż nie sądzę, żeby było wam specjalnie potrzebne – dodała zdziwiona absurdalnymi potrzebami ludzi. Wnętrze znów zalała czerwona poświata. – Komandorze – rzekła, wyraźnie tonując głosem

zabawę. – Nie chcę was skrzywdzić, chcę tylko się upewnić, że okręty Tasajewa będą bezpieczne. Poza tym musiałam wyczyścić wszelkie rekordy z tego spotkania. Nic wam nie popsuję, obiecuję.

– To nie było pokojowe rozwiązanie problemu – stwierdził Poltan, wpatrzony w usilne starania komandora, by odzyskać panowanie nad okrętem. – Jesteśmy całkowicie bezbroni, masz tego świadomość? – zapytał dziewczynę. – Jeśli Tasajev o tym wie, to nie zawaha się nas zniszczyć!

– Nie pozwolę mu na to – dziewczyna obiecała z gwarancją w głosie wartą więcej niż cały nuklearny arsenał Floty. W jakiś wyjątkowy, wręcz magiczny sposób budowała do siebie zaufanie, dając poczucie bezpieczeństwa i spokoju, w które nikt nie mógł zwątpić. – Nadpisałam już przebieg waszej misji. Teraz pozostaje kwestia obietnicy.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na ukryciu swojej obecności? – zapytał Werstain, porzucając próby odzyskania kontroli nad okrętem.

– Robię to dla waszego bezpieczeństwa – rzekła dziewczyna i wszyscy bez wyjątku natychmiast jej uwierzyli. – Jesteście młodzi i wspaniali, choć przeżywacie trudny okres, ale wierzę, że jeszcze będziecie zdobywać gwiazdy. Teraz jednak muszę was prosić, byście zapomnieli o tym spotkaniu.

– To nie takie proste, mamy tu kilkadziesiąt osób – stwierdził Poltan i coraz śmielej wdawał się z zagadkową osobą w dyskusję. – Poza tym nie rozumiem, jak sama obietnica dochowania tajemnicy ma ci wystarczyć, jeśli to takie dla ciebie ważne.

– Nie traktuj mnie swoimi standardami, mój drogi Poltanie. Jeśli wyczuję w was dobrą wolę, będę mogła wam zaufać.

– A jeśli jej nie wyczujesz? – zaryzykował Werstain.

– Zginiecie – dziewczyna postawiła ultimatum, martwą tonacją głosu wżerając się w serca załogi. Po chwili ciszy, odłożonej w ich głowach niemal instynktownym ostrzeżeniem, kontynuowała na powrót przyjaznym i lekkim, jak liść na rzece, głosem. – Żeby pokazać wam moją dobrą wolę, zdradzę wam, że mieliście okropnego wirusa w swoich mundurach. Już go usunęłam i jesteście bezpieczni – powiedziała z matczyną troską, grubymi nićmi wszytą w słowa.

Słodką niemoc obezwładniała załogę obfитоścią, niczym do syta najedzenie, kojąc obawy, niwelując wolę walki, uciszając świadomość oficerów, że prawdopodobnie rozmawiają z wyjątkowo niebezpieczną i inteligentną istotą, która tak doskonale to maskowała, że w zasadzie nikt nie miał jej tego za złe.

– Rozumiem już – nagle stwierdził Werstain, dołączając do prowadzonej przez nią gry. – Nie mamy zbyt wiele do powiedzenia, a komunikacja z nami jest gestem uprzejmości z twojej strony. Dziękujemy za to i przyjmujemy twoje warunki. Myślę, że nikt w gnieździe nie będzie specjalnie się sprzeciwiał. To spotkanie może pozostać w tajemnicy. Mam jednak jeszcze jedną prośbę.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziała dziewczyna, niewinnie rozbawiona kontekstowym komizmem tego sformułowania.

– Czy możesz zmodyfikować rejestr wydarzeń naszego okrętu tak, by zawierał zweryfikowane świadectwo zniszczenia floty rebeliantów?

– Już dawno to zrobiłam. Zniszczyliście osiem skradzionych okrętów, w tym trzy jedną salwą. Gratuluję!

– A nasze myśliwce? – pytał Poltan.

– Stracone w walce – ze smutkiem stwierdziła dziewczyna – ale piloci w ostatniej chwili zdołali się katapultować – dodała. – Musicie ich tylko przechwycić. Dacie radę?

– Jak tylko oddasz nam kontrolę – odpowiedział komandor.

– Już – zaszumiał miły głos i ciepłym wiatru powiewem zdmuchnął wszelkie nałożone im ograniczenia.

– Status floty terrorystów? – Werstain zapytał oficer kontroli przestrzeni.

– Są już po ciemnej stronie Księżyca.

– W takim razie wyślijcie statek po naszych pilotów.

– A nie mówiłam, że nic nie zepsuję? – pochwaliła się dziewczyna i znów śmiechem serca oficerom wyścieliła.

– To miło z twojej strony – podziękował z równie wypolerowaną uprzejmością komandor. – Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

– Słucham, komandorze.

– Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Dziwne pytanie – stwierdziła dziewczyna, chwilę mruczając w zamyśleniu. – Mogę cię zapewnić, że Tasajev i jego ludzie nie będą już wam sprawiać problemów. A czy ja mogę jeszcze o coś was prosić?

– Słuchamy.

– Chciałabym, żebyście zadbali o siebie i o innych, którzy pozostali na planecie. Spróbujecie? – prosiła, dźwigając w głosie monument kolektywnej nadziei, wykrawany przez rzemieślnika miar wszech ogółu, rachującego pigment zieleni w żdźbłach traw do kosztorysu symetrycznej progresji procesów.

Werstain nie pohamował uśmiechu, symbolicznie chyląc przed nią czoła.

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecał z nieskalaną szczerością intencji.

– W takim razie cieszę się i mam nadzieję, że wkrótce będę mogła poznać was bliżej. Do zobaczenia! – z radością następnego spotkania i żalem chwilowego rozstania dziewczyna powiedziała i spłynęła rzeką nieubłaganego czasu, pozostawiając już tylko powiew zassanej trzaśnięciem drzwi tęsknoty.

– Poruczniku Galien – próbował utrzymać formalność relacji komandor – proszę odwołać kod czerwony i zakończyć operację – polecił z topniejącym w głosie entuzjazmem. – Myślę, że nie muszę prosić was o dochowanie tajemnicy – zwrócił się do swoich podwładnych. – Uniknęliśmy ludobójstwa, które splamiłoby nasz honor w pierwszym dniu oficjalnej służby. To niewątpliwy sukces i chyba nikt nie twierdzi inaczej. Jeśli w waszych rejestrach pozostały jakieś ślady tego spotkania, proszę je usunąć. Jeśli ktoś uważa, że postąpiliśmy niesłusznie, to jako wasz zwierzchnik przyjmuję za to na siebie całą odpowiedzialność – oznajmił, synchronizując koniec przemowy z otwarciem wrót gniazda. Potem polecił całkowity skan systemu i wyszedł, oddając dowództwo swojemu zastępcy.

Werstain zjadł obfity kolację, spróbował raz jeszcze przygotować raport, bez skutku, odświeżył się i wyciągnął z barku w swoim pokoju butelkę whisky, by przed snem ukoić nerwy ulubionym trunkiem. Przygotował i napełnił dwie szklanki, bo wiedział, że za chwilę odwiedzi go pierwszy oficer. Zmęczony siedział przy barokowym drewnianym biurku będącym pamiątką dawno upadłej cywilizacji. Takich historycznych przedmiotów posiadał całkiem sporo. Zdobił pomieszczenie renesansowymi obrazami, kamiennymi rzeźbami greckich bóstw, XVI-wiecznym stołem i masą antycznych przyrządów nawigacyjnych. Nie był jednak kolekcjonerem. Całość trzymał tylko dlatego, że został o to poproszony przez zarządzającego magazynami we Fresno przyjaciela, który ubłagał go, by w ten sposób ocalić choć część ludzkiej historii. Jego pokój wyglądał więc jak małe muzeum, do którego Poltan wszedł, niosąc ciekawe wieści.

– Komandorze – rzekł pierwszy oficer, jak zawsze dopełniając formalności już za progiem drzwi.

– Napij się, zasłużyłeś – zaproponował mu Werstain, podsuwając szklankę whisky, i sam wziął łyk.

– Jestem na służbie.

– Wciąż trzymasz się tych bzdurnych zasad? Twój mundur jest w stanie oczyścić cię z alkoholu w kilka sekund. Nie krępuj się.

– W takim razie chętnie – odpowiedział Poltan i sięgnął po szklankę. Nie usiadł jednak, bo wiedział, że za chwilę musi wracać do gniazda.

– I jak?

– Oglądałem filmy z naszej bitwy z terrorystami – opowiadał z szerokim uśmiechem na twarzy Poltan, częstując się przy tym alkoholem. – Czterdzieści cztery kamery, w tym szesnaście na pociskach, odnotowały naszą potyczkę. Gdybym nie wiedział lepiej, nie uwierzyłbym, że to fikcja. Poprosiłem technika o przeskanowanie nagrań i nic nie znalazł. Nie rozumiał, po co w ogóle zleciłem mu takie zadanie. Kamery na Księżycu też nic nie odnotowały, do tego rejestr naszych sond przechwycił silne fale magnetyczne, prawdopodobnie z wybuchu jakiegoś odległego magnetara. To idealnie tłumaczy wszelkie usterki systemu – relacjonował, traktując własną opowieść jak dobry żart. – O wszystkim pomyślała, nawet o pociskach, które wystrzeliła bez naszej wiedzy, a po włamaniu do rdzenia haseł też nie ma żadnego śladu.

– To przerażające – stwierdził Werstain, przepłukując usta whisky przed połknięciem złotego trunku. – Jej głos był tak delikatny, a słowa tak przyjazne, że trudno uwierzyć, że mieliśmy do czynienia z istotą pozaziemską.

– To fakt, trudno będzie o niej zapomnieć – przyznał Poltan i wlał w siebie wszystko, co miał w szklance, próbując zalać alkoholem pustkę po jej anielskim głosie.

Komandor ziewnął, nie kryjąc zmęczenia przed swoim oficerem. Tak jak on, łyknął pozostałe whisky i skrzywił się pod wpływem nadmiaru gorzkiego smaku.

– Dowództwo coś odpisało? – zapytał.

– Tak. Gratulują nam udanej misji.

– Myślisz, że dadzą nam medale? – żartobliwie zapytał Werstain, masując swój wciąż sztywny kark.

– Całe góry odznaczeń – jawnie szydził Poltan. – Myślisz, że ona wróci?

– Myślę, że wciąż tu jest – stwierdził komandor, ociężale wstał od biurka i zawrócił w stronę bloku sypialnego. – Myślę nawet, że jest ich więcej i obserwują nas od dawna – dodał, rozpinając swój wierzchni mundur.

– To bardzo możliwe – powiedział Poltan i otworzył drzwi, gotowy wrócić do pracy.

– Pułkownik – zatrzymał go Werstain. – Sprawdź też nasze mundury. Jeśli mieliśmy jakiegoś wirusa, to chciałbym o tym wiedzieć. W końcu jeśli my go mieliśmy, to ma go cała Flota.

– Tak jest – odparł pierwszy oficer i wyszedł, ruszając do gniazda, gdzie trwała właśnie jego nocna wachta.